



# Wielki Byk Wschodu

*Emilia Rejner*



Tegoroczną próbą łowiecką był Vestre, Wielki Byk Wschodu. Diqna nie miała wątpliwości, że musi podjąć to wyzwanie i nie chodziło już nawet o chwałę, jaką przyniosłoby jej zwycięstwo w polowaniu. Musiała coś udowodnić, przede wszystkim samej sobie, a próby łowieckie przecież właśnie temu służyły. Udowadnianiu.

Próby łowieckie były tradycją pielęgnowaną od stuleci. Kolejne pokolenia bjortari przez lata wyczekiwały chwil, gdy natura rzucała im wyzwanie, podsuwała okazję do sprawdzenia się i wykazania. Jedni robili to dla późniejszego uwielbienia, inni – dla samych siebie. Gdy tylko pojawiała się okazja, każdy myśliwy czy woj, każdy czujący się na siłach bjortari w jednej chwili chwycił za łuk i oszczep. To był zew, najbardziej pierwotny i podstawowy. Zew, na który nie sposób było nie odpowiedzieć.

To zawsze same góry wyznaczały termin prób. Łowy rozpoczynały się wraz z wypatrzeniem wyjątkowego zwierzęcia. Stworzenia, które zdawało się być ucieleśnionym duchem Euxaniru lub rzadziej – Tameru. Przed trzema wiekami był to Tahthe, Śniący Gyrdir, potężny niedźwiedź o smolistej sierści, a niemal dwieście pór lodu później – Hette, Ren Wysokiego Stońca, albinotyczny jeleń Tameru. Nieco ponad dekadę temu polowano na Sove-Tari, roślą, jednooką lochę północnej dzikiej świni, teraz zaś padło na Vestre, ponadprzeciętnie masywnego woła, przewodnika jednego ze stad pogórza.

Dla siedemnastoletniej Diqny Heidveurr tegoroczna próba była ważniejsza niż cokolwiek innego. To w tym roku musiała nadać znaczenie swemu imieniu i upewnić się, że potrafi więcej niż powszechnie sądzono.

To nie tak, że nie była zdolna. Ani tak, że wszystko zawdzięczała pochodzeniu – bycie córką Ihrled Heidveurr, pierwszej spośród rytualistów, nie niosło za sobą przywilejów, jedynie oczekiwania, które trudno było spełnić. Wywodzenie się z takiej rodziny niczego nie ułatwiało, wszyscy o tym wiedzieli. Swoją pozycję w klanie





Diqna zawdzięczała własnej pracy i wysiłkowi. A było jej dużo, bo Diqna była szalenie trudnym materiałem do oszlifowania.

Z wyglądu stanowiła niemal lustrzane odbicie matki – wysoka, jasnowłosa, o charakterystycznych, intensywnie błękitnych, drapieżnych oczach. Poza tym jednak Diqna była córeczką tatusia. Z charakteru, zachowania i stawianych sobie celów była skórą zdartą z Tyrveiga, myśliwego z Klanu Atyra.

To od ojca dostała pierwszy mały oszczep i linę, z którymi uganiała się za żyjącymi na obrzeżach Yrkazaanu gryzoniami – fjallogami, z czasem wyrastając na najzdolniejszą spośród małych łowców. To ojciec zrobił jej pierwszy łuk i to on też pokazał jej, jak go używać i jak o niego dbać. Od niego nauczyła się wytwarzania własnych strzał, z czasem wyrabiając sobie charakterystyczny sposób opierania i zdobienia smukłych drzewiec. Razem z nim włączyła się po miejskim targowisku, by spośród przywiezionych z południa towarów wybierać najsolidniejsze ostrza i najbardziej praktyczne skóry. On jako pierwszy nauczył ją rytuałów dziękczynnych i to on wpoił jej, jak są ważne – równie istotne co samo polowanie. Nie było łowów, za które Diqna by nie dziękowała i zwierzyny, nad którą nie pochyliłaby głowy. Nie była myśliwym dla przyjemności. Nie dlatego odbierała życie.

To Tyrveig zaprowadził ją też po raz pierwszy do chaty myśliwych i oddał ją pod opiekę klanowych łowców. Myrkin przyjęli ją, bo była córką swego ojca i dlatego, że była zdolna. Miała zostać jedną z nich, widział to każdy, kto choć chwilę obserwował młodą Diqnę.

Nikt nie mówił jednak, że przeistoczenie rozhasanej kilkulatki we wprawnego myśliwego będzie łatwe i nikt też nie obiecywał, że wszystko przyjdzie samo. W przypadku Heidveurr było zupełnie odwrotnie.

Krew, pot i łzy dla wielu mogły być metaforą, dla Diqny jednak były dostówną ceną, którą musiała zapłacić. Niejeden raz ocierała starte dłonie z karmazynowych kropli a czło ze słonych strumyków zalewających jej oczy. Niejednokrotnie też wyła ze złości, z żalu i bezsilności, gdy kolejne próby nie przynosiły oczekiwanych efektów – wystrzelona z łuku strzała o centymetry mijała wyznaczony cel, rzucony oszczep rył ziemię zamiast drewnianej tabliczki z wyrysowanym jeleniem, wyprawiana skóra rozdzierała się brzydko podczas czyszczenia a ścięgnięta pękła, gdy próbowała rozciąć je na cieńsze nici. Diqna wściekała się za każdym razem, gdy coś nie wychodziło i wtedy, gdy próbowano ją poprawiać. Porażki godziły prosto w jej serce – dumne, krnąbrne, aroganckie. Nie rozumiała pojęcia dyscypliny, jak kot włączyła się własnymi ścieżkami i wzruszała ramionami za każdym razem, gdy próbowano jej wyjaśnić, co zrobiła źle. Determinacja nie szła u niej w parze z pokorą.

Potrzeba było wielu lat, wielu też i wielu kropli krwi, by Diqna zrozumiała, jak bardzo sama sobie przeszkadza. Wtedy jednak, gdy wreszcie to pojęła, uświadomiła sobie także coś jeszcze. Była gotowa. Ofiara z Vestre miała być jej ofiarą – dla thynów, dla gór, ale też dla samej siebie.





- Diqna, skarbie, ja nie wiem... - zaczęła Ingre z wahaniem, gdy Heidveurr wyrzuciła z siebie wszystko, co leżało jej na sercu w związku z nadchodzącą próbą i desperacką potrzebą wzięcia w niej udziału.

Siedzieli na miejskich murach, wsparte o siebie i otulone jednym futrem, spoglądając na lasy ciągnące się na zboczach otaczających Yrkazaan. Wtulając nos w zagłębienie szyi Ingre, Diqna wciągnęła ostrożnie znajomy zapach ziółowych perfum i maści, których używała jej partnerka i charakterystyczną woń nałogowo nacieranych olejami myśliwskich skór.

Ingre Arheimar miała włosy koloru kruczych piór, ogień w spojrzeniu szarych oczu i siłę gharra w sercu. Była kobietą, o którą warto było walczyć i dla której - Diqna była tego pewna - warto byłoby wyrzec się siebie, gdyby tylko o to poprosiła. Ingre była jednak niezależna, wolna i tak pewna siebie, że nie potrzebowała ofiar, by być szczęśliwą.

Diqna kochała Ingre bardziej, niż sądziła, że to możliwe.

- Nie jestem pewna, czy powinnaś tak o tym myśleć - dokończyła teraz Arheimar, ostrożnie dobierając słowa. - Wiesz, że w próbach nie bierze udziału każdy, a w tym roku... - Kobieta zawahała się. - Mogłabyś zaczekać, kochanie. Będą kolejne próby.

- Nie, Ingre - stwierdziła Diqna krótko, zdecydowanie, nie unosząc głowy z kobiecego ramienia. - Ja muszę. Muszę teraz, w tym roku, ja... - przerwała, odetchnęła powoli, zacisnęła dłoń na ciepłym futrze. - Potrzebuję tego, In. Bez tej próby niewiele mi zostanie.

Ingre milczała, wsłuchując się w przyspieszony oddech Diqny i ciszę śpiącego w dole miasta. Rozumiała, tak jej się wydawało. Po namyśle, zaczęła układać w głowie słowa, które szepnie do odpowiedniego ucha.

Arheimar znana była z podejmowania się różnych, nierzadko ryzykownych zakładów i w tej chwili była pewna, że musi zaproponować jeszcze jeden. Jorfar z Klanu Viliskyi był organizatorem tegorocznej próby i zawsze przyjmował wyzwania. Gdy proponowano mu łatwą wygraną, tym bardziej nie zastanawiał się długo. Ingre wiedziała, że Jorfar znajdzie dla Diqny miejsce podczas łowów na Vestre. Nie wierzył przecież, że siedemnastoletnia Heidveurr będzie sobie w stanie poradzić.

Pytanie brzmiało, czy sama Arheimar w to wierzyła.

\* \* \*

Tundrowe pogórze Euxaniru powitało ich kojącą ciszą, charakterystycznym zapachem wilgotnej, zmarzniętej ziemi i wonią kwitnących traw. Wczesne południe rozlewało się ponad wzgórzami ciepłym blaskiem słońca i pieściło policzki łowców podmuchami łagodnego wiatru. W oddali leniwie wędrowały stada masywnych wołów, a mniejsze grupki płochliwych, zimnolubnych antylop pasty się na suchych krzewach o ostrych liściach.





- Zasady są takie same jak co roku, ale przypomnę – rzucił Jorfar z leniwym uśmiechem, gdy wybrani myśliwi zatrzymali dotarli do tymczasowego obozowiska. Od opuszczenia przez nich ich klanowych miast minęły trzy dni.

- Liczy się czas – kontynuował organizator wyzwania, spoglądając pokrótce na każdego z zebranych łowców. Znał z imienia każdego, kto zdecydował się sprawdzić. – Ten, kto zabije Vestre, zostanie uznany za zwycięzcę próby – mówił Jorfar, spoglądając na Geitmara z Asundgranu, rostego, przedwcześnie posiwiatego myśliwego Klanu Fjalloga.

- Zadane rany, niebędące śmiertelnymi, nie mają znaczenia. Tylko ten, który odbierze życie Wielkiego Byka, będzie miał do niego prawo – kontynuował, przenosząc wzrok na Sevę z Urkari, płowowłosą łowczynię Klanu Atyra.

- Nie wchodzimy sobie w drogę – dodał Jorfar z wyczuwalnym przekąsem, na co Undu Śmiały, niewysoki, żylasty myrkin Klanu Malali uśmiechnął się przelotnie. – Nie ma niczego godnego w łowach wygranych podstępem – podkreślił organizator, a Fara z Sigvahl, Klanu Nidi, spojrzła na otaczających go myśliwych, ciekaw ich reakcji. Geitmar uśmiechał się leniwie, podobnie Undu. Seva odetchnęła cicho, prostując plecy. Tylko Diqna z Yrkazaanu stała niewzruszenie, wpatrzona w Jorfara, ale jakby nieobecna.

Fara uśmiechnął się przelotnie. Wyczuwał zdenerwowanie Heidveurr tak, jak wywęszyłoby je dzięki zwierzę.

Jorfar odetchnął cicho.

- Idźcie – rzucił krótko, gestem wskazując otwartą przestrzeń pogórza, cienie górskich szczytów widocznych na horyzoncie i iglaste, leśne zarośla rozciągające się u samych stóp Euxaniru. – Idźcie i znajdźcie Wielkiego Byka. Jutro, wraz z pierwszym blaskiem słońca, rozpocznie się próba.

\* \* \*

Myśliwi wędrowali w milczeniu, jedno za drugim podążając wydeptanymi przez stada ścieżkami. Nie rozdzielali się jeszcze, było na to zbyt wcześnie. Dopóki nie odnajdą Vestre, nie zjedzą ostatniego wspólnego posiłku i nie wyśpią się pod gołym niebem, dopóty nie byli jeszcze rywalami.

Diqna szła na końcu, czując, jak z każdym krokiem pewność siebie przecieka jej przez palce. Wciąż uważała, że jest gotowa. Wciąż była przekonana, że musi, że tegoroczna próba jest jej próbą.

Tylko, że teraz bardzo się bała.

Gdy wreszcie odnaleźli Vestre, Wielkiego Byka Wschodu, Diqna Heidveurr czuła, jak krew krzepnie jej w żyłach, a po plecach ściekają pierwsze krople zimnego potu.





\* \* \*

Vestre był ogromny. Oczywiście, można było się tego domyślać, nadany mu przydomek nie wziął się przecież znikąd, mimo tego żaden z myśliwych nie spodziewał się, że byk będzie aż tak wielki.

Był przewodnikiem stada. Masywne, porośnięte szorstką, szarobrązową sierścią ciało kotysało się na stosunkowo krótkich, umięśnionych nogach. Duży, z przodu spłaszczony nieco łeb wieńczył gruby, wygięty ku przodowi i górze róg. Z drugiego, nierówno złamanego, pozostała jedynie połowa. Nieduże, czarne oczka potyskiwały spod dłuższych kosmyków grubego futra tworzących charakterystyczną, opadającą na szeroki pysk grzywkę.

- To syn Agnari - mruknął Geitmar, gdy wytropili Vestre. Przyczajeni w wysokiej, suchej trawie, myśliwi przyglądali się bykowi, nie kryjąc fascynacji. - To musi być syn Agnari. To jej próba.

Diqna westchnęła cicho, przygryzając nerwowo wewnątrz policzka. Nie wątpiła, że Wielki Byk Wschodu był dzieckiem Szukającej. Tylko ona, patronka tych, którzy polują, głos natury, strażniczka gór - tylko ona mogła rzucić im podobne wyzwanie. W postawie Vestre była duma Agnari, a w spojrzeniu czarnych ślepi - jej determinacja.

Wracając do obozu myśleli o jutrze.

\* \* \*

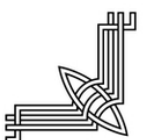
O świcie wróciła do miejsca, w którym po raz ostatni widzieli Wielkiego Byka. Od teraz każdy z towarzyszy poruszał się sam. Rozchodząc się po pogórzach przekradali się przez suche trawy i krzewy, kryjąc się tyleż samo przed zwierzyną, co przed pozostałymi myśliwymi.

Diqna odetchnęła powoli, próbując uspokoić rozszalałe serce. Ten dzień miał być dniem jej i Vestre, nikogo więcej.

Stada już nie było, od poprzedniego wieczora przewędrowało dalej, krocząc wolno i porykując leniwie. Szlak ich wędrówki znaczyły trawy wydeptane do gołej ziemi i krzewinki ogryzione z drobnych, nie w pełni jeszcze rozwiniętych kwiatów.

Podążyła śladem wołów, świadoma bliskości innych myśliwych. Nie polowali razem, ale łowili tę samą zwierzynę. Nawet wybierając inne ścieżki, wciąż będą blisko siebie. Zbyt blisko.

Stado nie odeszło daleko, a tam, gdzie było, był też ich przewodnik, Wielki Byk Wschodu.





Diqna nie miała wprawy w łowach na dużą zwierzynę. Tak naprawdę, w ogóle nie miała wprawy. W dzieciństwie uganiała się za fjallogami, a potem, ucząc się od klanowych myrkin, polowała na górskie kozły i owce. Teraz jednak to było coś innego. Bjortari rzadko polowali na woty pogórza, a jeśli to robili, tradycyjną praktyką było straszenie ich ogniem i zamykanie w przygotowanych wcześniej, ogrodzonych wybiegach, w których dokonywano rzezi schwytej zwierzyny. To był sposób prymitywny, pierwotny, ale przede wszystkim – skuteczny.

Teraz jednak nie tak mieli polować. Teraz chodziło o dumę i honor.

Gdy Vestre oddalił się nieco od reszty stada, Diqna uznała, że lepszej okazji mieć nie będzie. Wypadła z krzewów z oszczepem uniesionym do rzutu, wystarczająco ostrym, by rozciąć grubą skórę byka.

Stado, ostrzeżone dudniącym rykiem przewodnika, zbito się w okrąg ochraniający najmłodsze zwierzęta.

Wielki Byk Wschodu zrył twardą, zmarzniętą ziemię szeroką racicą. Pochylając łeb, parsknął ostrzegawczo, wydmuchując z nozdrzy wilgotne kłęby pary. Heidveurr wiedziała, że woty nie widzą za dobrze, a jednak teraz, gdy zawisło na niej spojrzenie czarnych ślepi, nie mogła pozbyć się wrażenia, że Vestre świdruje ją wzrokiem.

Wypuściła oszczep z dłoni w tej samej chwili, w której Wielki Byk wyrwał do przodu. Był szybszy, niż wskazywałyby na to jego krótkie nogi i zwinniejszy, niż sugerowałyby to jego masa. Diqna widziała, jak ostrze oszczepu przedarło się przez grubą sierść i prześlizgnęło się po ciele zwierzęcia, nie wyrządzając mu większej szkody.

Popetniła błąd.

Gdy róg byka rozdarł jej myśliwskie skóry i ciało, nawet nie była zdziwiona.

Stado oddaliło się ciężkim truchtem, pozostawiając ją tam, gdzie osunęła się na kolana. Przez palce dłoni przyciśniętych do boku spływała jej gorąca krew.

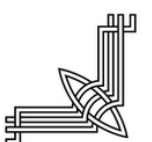
- Kurwa mać - mruknęła zduszonym szeptem Diqna. Potem roześmiała się krótko, histerycznie. - Ja pierdolę.

Wiedziała, że nie umrze. Wiedziała, że się wyliże, rana nie była aż tak dotkliwa. Nie wiedziała jednak, co z próbą. Chyba nie mogła w niej już uczestniczyć. Chyba nie powinna.

Słyszała szelest zarośli, przyspieszone oddechy, tupot miękkich butów, jakiś szept. Słyszała innych. Był tu Geitmar i Undu, Seva i Fara. Słyszała ich, gdy czekali na efekt jej łowów i potem, gdy chytkiem oddalali się, by podążyć za ranionym bykiem.

Wiedziała, że jej nie pomogą. Nie takie były zasady próby. Musiała sobie poradzić.

Nie mogła podążyć za nimi. Musiała się wycofać.





Przed zmierzchem, gdy nałożyła już na bok prowizoryczny opatrunek i rozsiadła się przy niedużym, ledwie tłącym się ognisku, wciąż nie słyszała rogu mającego obwieścić koniec próby. Wielki Byk Wschodu wciąż musiał żyć.

Diqna odetchnęła cicho. Próba wciąż trwała, a to oznaczało, że chyba – *chyba* – mogła spróbować. Musiała. To miała być *jej* próba.

\* \* \*

O świcie, jeszcze zanim rozległy się pierwsze trele drobnego, kolorowego ptactwa, ruszyła dalej. Raniony bok rwał przy każdym kroku. Po nocy prowizoryczny opatrunek przesiąkł i choć Diqna zmieniła go, a rana już nie krwawiła, Heidveurr nie czuła się dobrze. Nie była pewna, czy starczy jej sił, ale chyba musiało. Tak sobie mówiła – że musi.

Jeszcze przed południem trafiła na ślady krwi. Nie zauważyła ich od razu. Patrzyła, ale nie widziała – tak powiedziałby jej ojciec. Rdzawobrunatne, wyschnięte plamy częściowo wsiąkły już w zmarzniętą glebę. *To barwnik*, pomyślała Diqna niezbyt przytomnie. *Ten hadharski barwnik z żuków, którym barwią materiały.*

Gdy zrozumiała, co widzi, gwałtownie wciągnęła powietrze.

Krew barwiła szlak stada. Było jej dużo, zbyt dużo, by ranione zwierzę mogło to przetrwać.

– To Vestre – pomyślała Diqna, nieświadomie wypowiadając to także na głos. – To musi być Vestre – powtórzyła, a słowa były schrypnięte, zgrzytliwe.

Przesuszone gardło bolało, ale Heidveurr nie sięgnęła po bukłak. Mało piła podczas łowów. Prawie nic. Zawsze wstydliwie obawiała się, że zepsuje polowanie przez potrzebę, która złapie ją w najmniej odpowiednim momencie. A ona nie mogła przecież zostać łowcą, który nie wykarmi klanu, bo zachciało mu się siku.

*To Vestre*, powtórzyła po raz trzeci, teraz już tylko w myślach. *Podczas próby żaden myśliwy nie zrani innej zwierzyny.* Niepisana zasada, której każdy przestrzegał.

Podążała tropem stada jeszcze przez chwilę, nim wreszcie znalazła Wielkiego Byka. Ogromne cielsko leżało bezwładnie tuż za granicą iglastego lasu. Szarobrunatna sierść była brudna i pozlepiana w strąki przez zaschniętą krew. Wszystkie krowy, cielaki i młodsze byczki musiały się rozbiec, uciekając w panice, gdy ich przewodnik padł z ludzkiej ręki.

Bo on rzeczywiście nie żył, Diqna była tego pewna.

Szerokie boki zwierzęcia nie unosiły się. Ciało byka wciąż było ciepłe – Heidveurr sprawdziła to, wsuwając dłoń w grubą sierść, przeciskając palce aż do sztywnej, napiętej skóry woła – ale ciepło to uciekało szybko. Otwarte ślepia wpatrywały się martwo w masywy gór wyrastające na horyzoncie.





Diqna odetchnęła powoli, szarpnięciem wrywając pojedynczą strzałę z nasady szyi byka. Drobny, smukły grot zdawał się być zbyt delikatnym, by móc powalić tak roste zwierzę, ale Heidveurr wiedziała, że to pozory. Grot strzały był solidny, wykonany z południowego stopu metali. Tego typu ostrza przywozili handlarze z Hadharu i liczyli sobie za nie co najmniej trzykrotność wartości tych wytwarzanych przez bjortari. Było to jednak uzasadnione, o broni z południa zwykle się bowiem mówi, że jest niezawodna. Ostrzejsza niż wygląda i trwalsza, niż można by podejrzewać. Diqna doskonale o tym wiedziała, podobnie jak wiedziała, ile futer gharra trzeba było dać w zamian za komplet trzydziestu grotów z Hadharu.

Wiedziała, bo strzała wyciągnięta z ciała Vestre była jej strzałą, a kończący ją grot był jednym z kilkudziesięciu, które kupiła niespełna trzy miesiące wcześniej. Sama zabarwiła pióra błękitnym barwnikiem i sama ponacinała je w charakterystyczny dla siebie sposób przed docięciem ich do końca drzewiec.

Strzała, która powaliła Wielkiego Byka Wschodu była jej strzałą, ale Diqna nie zdążyła jej wystrzelić.

Nie zdążyła się nad tym zastanowić, gdy trzask suchych traw pod butami zapowiedział nadejście innych.

– To moja. – Geitmar nie odzywał się aż do chwili, gdy obejrzał byka i wyszarpnął z niego własną strzałę o szarych piórach. – Ale to nie ona go zabiła. – Myrkin spojrzął z uznaniem na Diqnę i uśmiechnął się półgębkiem. – Gratuluję, *anan*.

Heidveurr uśmiechnęła się blado. Wiedziała, że w tym przypadku *anan* miało znaczyć *młoda*, nie *głupia*.

Fara przykucnęła przy nieruchomym Vestre i przesunęła dłonią po szorstkiej sierści, starannie omijając zakrwawione miejsca.

– Dobrze ci poszło – przyznał w końcu, choć z niechęcią. – Ta próba jest twoja.

Diqna milczała.

– Zadmij w róg – polecił Geitmar, ruchem głowy wskazując mały instrument zawieszony u pasa dziewczyny. Każdy z łowców miał podobny i każdy miał prawo w niego zadąć w chwili, w której powalił zwierzyne.

Heidveurr odetchnęła powoli i równie powoli wyprostowała się z kucek. Zesztywniałymi z napięcia palcami odpięła róg i przytknęła go do ust. Jęklive zawodzenie poniosło się ponad lasami i wzgórzami, kończąc tegoroczną próbę.

\* \* \*

Wieczorem świętowali. Znowu zebrali się we wspólnym obozowisku, w którym teraz dołączyli do nich także inni bjortari różnych klanów. W obliczu świadków potwierdzono zwycięstwo Diqny, wręczając jej skóry Vestre – wyprawione przez kobiety wybrane specjalnie do tej roli – i amulet z byczego ogona. Tuż przed







posiłkiem zakopano też serce byka, oddając jego ducha z powrotem jego matce, Agnari, Szukającej. Jeśli taka będzie wola thyny, Vestre mógł powrócić kiedyś na górskie szlaki – bardziej prawdopodobne było jednak, że bogini zatrzyma go przy sobie, by kroczył dumnie u jej boku. Dumny byk zginął godnie, należało mu się miejsce w menażerii Agnari.

\* \* \*

– To ty, Ingre. Wiem, że to ty.

Gdy nasycili pierwszy głód, biesiadujący rozeszli się po obozowisku i jego okolicach, rozkładając pod gotym niebem pogórza. Wtedy też przestali wreszcie spoglądać na Diqnę, pozwalając jej odpocząć.

Heidveurr usiadła przytulona do boku Ingre, podobnie jak przed kilkoma dniami okrywając się z nią jednym futrem.

– Może – przyznała Arheimar, uśmiechając się leniwie. Przez chwilę błędziła dłonią po plecach Diqny, wreszcie zsuwając palce na biodro partnerki i przygarniając ją bliżej siebie. – Może i tak.

Heidveurr zeszywniała. Nie uciekła przed pieśczością Ingre i nie cofnęła się, gdy ta złożyła w kąciku jej warg lekki pocałunek, ale nie odwzajemniła czułości.

Ingre równie dobrze mogłaby dać jej w twarz, efekt byłby taki sam.

– Dlaczego? – wyrzuciła Diqna krótko, sucho. Jej głos drżał, podobnie jak drżały zaciśnięte na okrywającym je futrze ręce. – Dlaczego to zrobisz? To była moja próba. Moja, do cholery – warknęła.

Arheimar zerknęła na nią przelotnie.

– Nadal jest, Di – stwierdziła, niewzruszona złością Heidveurr. Diqna była drażliwa, ale to przecież nie miało znaczenia. Kochała ją za to. Za tę złość, ten pazur. Tę wojowniczość.

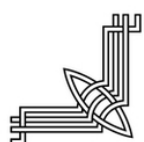
– Zadbłam o to, żeby była – kontynuowała Ingre lekko, wodząc wzrokiem po gwiazdach rozbłyskujących coraz liczniej na zmierzchającym niebie. Ciepło pobliskiego ogniska grzało je w plecy, łagodny wiatr pieścił policzki. To był dobry dzień i będzie dobra noc. – Ja w ogóle o ciebie dbam, kochanie. Muszę, ty sama jeszcze tego nie potrafisz. – Arheimar uśmiechnęła się łagodnie.

– Ingre – wycedziła Diqna przez zęby. – Ingre, czego ty...

– Mała – Arheimar nie dała jej dokończyć. Heidveurr czuła, że drży z frustracji.

– Mała, przecież to nie problem. Jesteś zdolna. Jesteś wspaniała. To tylko ta próba, tylko ona nie była dla ciebie. – Ingre wzruszyła ramionami. Nie widziała problemu. Nie widziała powodu do złości.

– Korzystaj, skarbie. Baw się. To mogło być za wcześniej, to było za wcześniej, ale... – Arheimar uśmiechnęła się szerzej. W którymś momencie wyslizgnęła się spod futer z drapieżną gracją.





– To było za wcześnie, ale zastugiwałaś na Vestre – dokończyła łowczyni, spoglądając na swą partnerkę uważnie. Łagodny uśmiech igrał jeszcze przez chwilę w kącikach jej ust, znikając jednak przy ostatnich słowach kobiety. – Nie każ mi sądzić inaczej.

Gdy Heidveurr nie odpowiedziała, Ingre westchnęła cicho i odeszła, dotychczas do Jorfara.

Diqna odprowadzała ją wzrokiem. Brakowało jej słów, by wyrazić wszystko, co czuła – i to, jak bardzo bolało ją serce.

Jedenaście lat później, gdy na Przetęczy Gyllandh pojawił się Ulve, Wilczy Syn Zmierzchu, decyzją Diqny, pierwszej spośród myrkin Klanu Gharra i organizatorki próby, Ingre Arheimar nie została dopuszczona do rywalizacji.

Zapytana dlaczego, Heidveurr ze spokojem spojrziała w płonące ogniem urazy, tak doskonale znajome, piękne oczy Ingre.

– To próba honoru – odpowiedziała, wiedząc, że na więcej słów nie będzie już między nimi miejsca.

